

Józef Kwiecień

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Archiwum Wschodnie 117 K.K.

W 1922 roku (wiosną) Józef Kwiecień sprzedał swoją gospodarkę w Roźniatowie. Postanowił bowiem kupić nową ziemię z parcelacji. Część pieniędzy zarobił w Ameryce, bo akurat przed samą wojną w 1914 roku wyemigrował do Ameryki (zostawiając swoją żonę z 8 dziećmi). W Ameryce pracował jako krawiec w fabrykach, potem próbował różnych zawodów co pozwoliło mu zarobić pewną sumę pieniędzy. Będąc w Ameryce poznał Ciska z Roźniatowa. Ten że Cisek został mężem jednej z córek (Anieli) Józefa Kwietnia, kupił resztę gospodarstwa Kwietnia. Kwiecień z kolei postanowił kupić ziemię (z parcelacji Poteckich) w Skomorochach pow. Sokal-3km w prostej linii od rzeki Bug, 125 morgów austriackich-6.400m<sup>2</sup> 1 morg. Przeprowadzka na to gospodarstwo nastąpiła w 1922 roku. Najpierw pojechał Józef Kwiecień ze starszymi dziećmi. Żona wraz z młodszymi dziećmi w tym z niedawno narodzonym Kazimierzem przeprowadziła się nieco później. Kazimierz Kwiecień w chwili przeprowadzki miał 3 miesiące. Gospodarstwo zakupione w Skomorochach składało się z ziem bardzo zniszczonych podczas wojny 1920 roku. Zryte okopami, lejami po wybuchach bomb i pocisków. Stąd początkowo trzeba było uzadtnić ziemię pod uprawę (nie całość). Rodzina tymczasowo ze względu na brak budynków mieszkała w starej karczmi, która znajdowała się na zakupionych gruntach. Oprócz karczmy i pola uprawnego w skład tego gospodarstwa wchodził jeszcze teren po starym młynie wodnym-doszczętnie zniszczonym i spalonym podczas wojny. Zostały resztki urządzeń (zapora do śluzy, pale itp.) Reszta była zarosnięta łąką i burzanami. W międzyczasie budowano zabudowania gospodarcze: stajnię, stodołę. Dom mieszkalny na końcu-po 5 latach, mieszkało w karczmi. Po zbudowaniu stajni zaprowadzono inwentarz, kupiono konie. Wynajęto 2 parobków i cały wysiłek skierowano w stronę prac porządkujących teren gospodarstwa i pól. Dom zbudowano murowany w stylu małego dworku szlacheckiego z dwoma deryckimi kolumnami u wejścia do ganku.

Dzieci starsze zaczęły dorastać, chciały iść na swoją gospodarkę. Najpierw wyszła za mąż Stefa, potem ożenił się Adam, potem Franek. Zaczęło się to gospodarstwo rwać, bo każdy swoją część w posagu zabierał, tak że w sumie w 1939 roku zostało 25 morgów.

Nie można było tego wszystkiego obrócić własnymi rękami-siłami, trzeba było wynajmować ludzi do roboty, zwłaszcza do żniw, dlatego, że co jak co ale słoma (zboż) rosła fantastycznie, bo to były dobre ziemie.

Wtedy używano nawozu naturalnego-obornika, tak że nie można było regulować wzrostu roślin, wszystko było naturalne, uprawiane prostymi sposobami. Takie zboża jak jęczmień czy pszenicę można było kosić żniwiarką, ale żyto i pszenicę ozimą trzeba było zbierać ręcznie, bo słoma była taka gruba, że nie można było żniwiarką kosić.

Nie-unikniony był, oczywiście kontakt z ludnością miejscową. Trzeba sobie powiedzieć najpierw jak topograficznie to wyglądało. Więc mniej, więcej 6 km na pn.wsch. od Sokala leżała ta nasza kolonia, która się składała z 7 osad polskich i właściwie nazwę swą Skomorochoy przejęła od wsi ukraińskiej (z tym, że nie było wtedy jeszcze pojęcia "Ukraińcy" tylko było pojęcie "Rusinów") była to duża wieś ruska, leżąca nad Bugiem, z cerkwią piękną na pagórku i nazywała się Skomorochoy. Od tej wsi wzięła nazwę ta nasza kolonia polska (z tym, że ta kolonia to było 7 gospodarstw, a ta wieś to około 200). Jadąc od Sokala do Skomorochoy mijano się najpierw niedużą wioseczkę, która nazywała się Walawka, gdzie był też nieduży las (miejsce gdzie towarzystwo z Sokala jeździło na majówkę). Później była duża wieś Ilkowice, taka mniej, więcej jak Skomorochoy, później Skomorochoy. Właściwie z boku, przy trakcie z jednej strony były Skomorochoy wieś a z drugiej (po prawej) leżała ta osada-kolonia Skomorochoy.

Za ~~Skomorochoy~~ była wieś Styniatyn - ogromna wieś ruska i nieco z boku z prawej strony była następna wieś ruska Świtarzów.

W tym Świtarzowie był majątek państwa Obertyńskich (w granicach 300 ha). Ci państwo Obertyńscy, którzy mieszkali tam, mieli syna Edwarda. Później, jako, że ta drobniejsza szlachta podupadała, tak samo Obertyńscy sprzedali Żydom grunt (którzy rozwinęli nie-zły interes - bo były to ziemie dobre):

Ale, dla czego opowiadam o tym Świtarzowie? Dlatego, że w mauzoleum na zapleczu u tych Obertyńskich wybudowana była kaplica i Obertyńscy mieli swojego księdza, który sprawował tam posługi. Kiedy zjawili się koloniści polscy (bo równocześnie z kolonią w Skomorochoch w okolicach Świtarzowa powstały 2 osady polskie - Relikówka i Rawczyzna, ale to były już kolonie większe, mniej więcej po 20 osad) to społeczność polska chciała się jakoś tak urządzić, żeby mieć swój kościół, żeby mieć nabożeństwa. No i do tego doszło, że koloniści dogadali się z tym księdzem (z kaplicy Obertyńskich), że będzie on sprawował posługi chrześcijańskie, katolickie dla tych wszystkich osiadłych Polaków. Jako, że ta kapliczka była za mała, żeby wszyscy wierni rzymskokatolicy mogli się tam zebrać to zanim przystąpiono do budowy kościoła dobudowano taką drewnianą przybudówkę do tej kaplicy. Nabożeństwa odbywały się w kaplicy a i werni zbierali się w przybudówce - szopie. Dlatego o tym wspominać - bo wyobraź sobie, że od tego czasu jak zamieszkaliśmy w Skomorochoch do wojny nie mieliśmy żadnych zatargów z ludnością ruską. Może dlatego, że w owym czasie nie był rozbudzony nacjonalizm ukraiński, tylko ci ludzie uważali się za miejscowych. Rуска ludność miejscowa. Podburzanie, wogóle takie dzielenie, podpuszczanie Polaków na Rusinów, czy Rusinów na Polaków zaczęli robić Austriacy.

Wiesz o tym, że Austriacy cofając się oddali administrację lwowską Ukraincom, dlatego była ta wojna o Lwów, obrona przez Orłęta itd. I mniej więcej od tego czasu w jakimś małym stopniu, niedużym, zaczęła się skądś, nie wóem skąd, ale zaczęła się sączyć infiltracja nacjonalizmu ukraińskiego. Zaczęto wmawiać tym ludziom, Rusinom, którzy uważali się za Rusinów, że są Ukraińcami, że nie są Rusinami tylko Ukraińcami. No i przede wszystkim młodzież (nie bez tego żeby coś tam nie było z zewnątrz z Ukrainy Radzieckiej). Np. dumki to było takie jakby wyrosło na gruncie Ukrainy Radzieckiej. W każdym bądź razie w niektórych domach zaczęły pojawiać się portrety Bohdana Chmielnickiego. I młodzież ukraińska zaczęła organizować się w tzw. Siczowe Kowy, tak jak młodzież polska organizowała się w Sokoła, harcerstwo. Żeby zapobiec tym organizacjom, szerzenia się tych organizacji, to policja, proszę Ciebie prowokowała całą masę incydentów, takich, które pozwalały na to, żeby co bardziej aktywnych członków tych organizacji przymykać od czasu do czasu. Na tym polegał ten wic? Wic polegał na tym, że w zasadzie istniała pewna swoboda w organizowaniu sobie zabaw, straży pożarnych, czy coś w tym rodzaju. No i te organizacje urządzały sobie jakieś festyny, zabawy - jak to było na wsi, nie tak jak teraz, że każdy w telewizor patrzy, tylko wóes były somowystarczająca, urządzano sobie różne przedstawienia, festyny. Powiedzmy w tym okresie Bożego Narodzenia, karnawału - wykorzystawała w ten sposób, że urządzano sobie zabawy taneczne, jasełka itp. Duszą organizacyjną tych wszystkich byli ci aktywni siczowcy, albo też był "sojuz" takie ruskie spółdzielnie rolnicze. Oni sprzedawali tam swoje towary, zboże masło, oraganizowali przetwórstwo owocowe i warzywnicze. I te organizacje, powiedzmy sobie często gospodarcze i te często o podłożu politycznym urządzały takie sobie historie kulturalno-rozrywkowe. To się zaczęło nasilać gdzieś ok. 34-35 roku. No, może było wcześniej, tylko ja się tym wtedy nie interesowałem, byłem małym chłopcem jeszcze. I wtedy zaczęły się dziać paskudne rzeczy, dlatego, że policja napuszczała, takich bandziorów <sup>mię</sup> - menty społeczne, do rozpędzania ich, do prowokowania bójek, awantur. Oczywiście, że wtedy nie byli aresztowani ci prowodyzy (śmiej) prowokatoży, tylko byli aresztowania tych w jakiś sposób napiętnowanych - oraganizatoży ruscy czy ukraińscy. To cholernie jątrzyło stosuneczki. Nasze stosunki jakoś z tymi ludzmi zostały zadrażnione, psuło to wszystkim krew. W każdym bądź razie wiesz jak jest jakaś akcja, to jest reakcja. To jest logiczne. W każdym razie dochodziło do tego, że niektóre wsie, te ukraińskie były pacyfikowane. Na czym plegała taka pacyfikacja? Pacyfikacja polegała na tym, że policja najpierw robiła rozeznanie, wynotowywała sobie tych facetów - niewygodnych i przyjeżdżało ..... , wyłapywało tych facetów i wyciorami czy kolbami załatwiało.

Jeżeli nie było jakich, takich podstaw do aresztowania, żeby można było faceta osadzić w ciupie. W każdym bądź razie uważam, że to były haniebne rozgrywki. Nie pamiętam dokładnie roku, ale mógł to być 37, 38 rok. Tak też była pacyfikowana ta wioska, te Skomorochy właśnie. Skomorochy i Styniatyń. I wtedy u nas na strychu Mama przechowywała 5 facetów, takich "śmierdzących" którzy podpadali proszę ciebie pod te baty (śmiech), a ja z uwagi na to, że stosunek nasze były dobre. Mama nigdy się do żadnej polityki nie mieszała a zawsze ceniła ludzi za duszę i za zachowanie lub przydatność a nie pod względem polityki, do której się nie mieszała.

Teraz kwestia wynajmu do roboty. Biedoty we wsi było sporo przecież, tak, że nie było problemu z wynajęciem ludzi. Stawki płaciło się zawsze większe jak we dworze. Na dworze dniówka wynosiła

Ja Ci opowiadałem, że Żydzi kupili ten mająteczek Obertyńskiego i płacili 80 groszy. Dniówka na robotach publicznych, to znaczy przy drogach, przy regulacji rzek, bo budowali drogę z Sokala do Włodzimierza i tam sporo ludzi pracowało - jedna dniówka wykwalifikowanego robotnika wynosiła 1 zł. Oczywiście były gaże specjalistów przy układaniu tej szosy, brali więcej. U nas zarabiał kosiarz - ten który przychodził z kosą - przy koszeniu zarabiał 2 zł. a te babki, które odbierały (nie wiem czy jedna albo dwie) przy tym kosjarzu zarabiały po złotówce. Więc bardzo chętnie przychodzili do roboty, dostawali obiad, podwieczorek, tak, że nie było nigdy problemu. Oprócz tego, myśmy mieszkali na skraju tej kolonii - pierwszy dom, dotykaliśmy bezpośrednio do wsi Ilkowice (nie Skomorochy tylko Ilkowice).

Z uwagi na to, że to nasze gospodarstwo było duże, to ono zajmowało przy tej drodze dość rozległy teren. (były to gospodarstwa w granicach 80-150 morgów, obszarowo ~~nie~~ to było dużo). Nasz dom stał pierwszy i sąsiadował z końcem wsi Ilkowice. Wieś Ilkowice była położona na dwóch brzegach rzeczki (była to rzeka Stara, nie wiem czy ona jest gdzieś na mapie, czy nie, taka nie duża rzeka 10 metrów szerokości woda po kolana, nie głęboka).

Z uwagi na to, że ja do najbliższego sąsiada miałem jakieś 300m może pół kilometra i w tym najbliższym sąsiedztwie nie było takiego chłopca czy dziewczyny, która byłyby mi rówieśna (bo było to wszystko starsze) nie miałem się z kim bawić, poprostu nie miałem kontaktu żadnego z innym dzieckiem. Więc kontaktowałem się przede wszystkim z tymi ruskimi dziećmi, które były tylko przez drogę. Droga w prawdzie biegła w wawozie, dość takim głębokim, ale przeskoczenie tej drogi nie było takim znowu problemem.

A zaraz za tą drogą mieszkał sąsiad, który nazywał się Oleszczuk i on miał 4 dzieci, z tym, że syn był już wyrosnięty, córka starsza już taka pannica, natomiast młodszy syn był mi rówieśny, a ta córka Gienia jeszcze młodsza parę lat. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że ten Oleszczuk był niesłychanie pracowitym człowiekiem i zmyślny, umiał bardzo dużo rzeczy robić, (wyplatał np. ze słomy maty, takie koszyki do pieczenia chleba, pojemniki

do przechowywania zboża, wyrabiał płótno-ткаł w zimie i ciał masę innych rzeczy. Umiał świnie bić, opalać itp. U niego w czasie zimy, czy jesieni jak już zajęcia w gospodarstwie ograniczają się do karmienia inwentarza do młócenia zboża-cepami młóciło się. Oczywiście cepami młóciło się tam gdzie gospodarstwa były małe, bo te duże gospodarstwa ukryńskie też miały sprzęt, młockarmiesiewniki, żniwiarki itp. Ale ten Oleszczuk nie miał - zdaje się dużo, 3 morgi miał tej ziemi, no więc ta młocka odbywała się cepem i miał słomę do wyplatania, łoziny było dużo, bo tego nad rzeką dużo rosło, tak, że zajmował się tym. Byłem niesłychanie zafrapowany tymi wszystkimi rękodzielami i stale z uwagi na Stefana i Gienię z którymi się bawiłem całe Boże lato i całą zimę siedziałem u tego Oleszczuka, więcej niż przebywałem w domu, a zwłaszcza gdy przychodziła późna jesień i zima. Bo tam u Oleszczuka, gdy On siadał przy warsztacie tkackim gromadziła się zawsze taka starszyzna wiejska. Nie było normalnie dnia, żeby nie było tam około kilku gospodarzy ze wsi. Takich biedniejszych, ale pamiętających czasy odległe, którzy opowiadali najrozmaitsze kawały, bajki o strachach czyli fantastyczna pożywka dla dzieciarni. Siedziało się z otwartą buzią i słuchało, tak dalece, że nie raz gdy opowiadali jakieś straszne bajki, czy epizody, które rzeczywiście miały miejsce, to ja byłem taki płochliwy, że się bałem iść do domu - wracać, odprowadzała mnie Maryna, albo przychodziła mija siostra atwoja ciocia Wiśka. Brała mnie dopiero "na barana" i szedłem do chałupy. Więc w zasadzie ten nasz związek z tym Oleszczukiem i jeszcze jednym gospodarzem był dość ścisły, takie no bardzo bliski z tym, że ten gospodarz Dynia, to był taki łobuz (śmiej) taki nie można powiedzieć, że pijaczyna (bo był za biedny) ale taki leser mało pracowity. I jego związek z nami polegał przede wszystkim na tym, że pożyczzał. Miał On niewistkę i ona prawie co dzień przychodziła jak im coś brakowało a to: nafty, kanfiny, soli, cukier dla dziecka. Ale to było dość takie sympatyczne (śmiej) bo ona tak pokornie przychodziła i zawsze dostawała cukier (mieliśmy go pod dostatkiem, bo kontraktowaliśmy buraki i parę worków cukru zawsze stało). Była to rodzina bardzo użyteczna. Nie zawsze trzeba było tych robotników wielu, ale do młocki trzeba było najać jednego, dwóch, to poleciało się do Oleszuka, zawsze Władek albo Maryna czy stara Oleszukowa przychodzili.

Oleszuk też pożyczzał, ale pożyczzał z taką godnością, która była bardzo śmieszna. Przychodził np. "daj tu pani Kwietniowa siana", Mama mówi: no wiecie przecież, gdzie siano, to idźcie nabieźcie sobie siana. To On wtedy wracał do domu brał swojego syna Władzia (mocnego chłopca), przynosił taki sznur, proszę Ciebie na dziesięć metrów, kładli furę siana na ten sznur, wiązali olbrzymią wiązkę i po śniegu tą wiązkę siana ciągnęli (śmiej) do siebie. Dlaczego? Dlatego, że był to facet chorowity i on nie chciał po prostu na drugi dzień pracy chodzić na te pożyczki.

I oczywiście mowy nie było o jakimś oddawaniu, bo nie było sensu, zawsze tego siana zostawało i tak trzeba było stare siano zużyć na ściólkę a reszta się marnowała.

Przychodziły np. święta. Nasze święta były zawsze o 2 tygodnie wcześniej (bo to kalendarz rzymskokatolicki, a ich greckokatolicki) ich święta mijały się o 2 tygodnie. Straż pożarna miała orkiestrę dętą, to strażacy zawsze w święta Bożego Narodzenia przychodzili grać naszym kolędy pod okna. Fajnie to wyglądało, zapalało się światła i choinkę do kolacji a tu orkiestra dęta pod oknami. A kolędy były bardzo podobne - melodia, do naszych. Nie pamiętam w tej chwili, żeby Ci jakąś zanucić, to było niezwykle sympatyczne. Natomiast myśmy sznowali święta greckokatolickie. Nikt np. nie wychodził z pługiem w pole w święta Wielkanocne czy nie przystępował do młocki w święta Bożego Narodzenia. Zawsze to jakoś bardzo sympatycznie się układało, do proszę Ciebie wojny światowej. Nie wiem jak to tam wyglądało, w każdym razie proszę Ciebie o tym, że będą nas wywozić ci Ukraińcy wiedzieli. Nie wiem ilu ich wiedziało, kto to wiedział, w każdym razie faktem jest, że ten Władek najstarszy syn Oleszczuka, w kilka dni przed tym jak nas wywieźli ostrzegł nas, że nas będą wywozić. No Mama nie wierzyła, bo to myślała, że poprostu chcą przejąć chadziajstwo. Ale teraz jest sytuacja!

Wojska niemieckie w czasie II wojny światowej do Skomoroch nie wkroczyły. Wkroczył bardzo mocny patrol do Sokala (1939 r) i na tym się skończyło. Jako, że Sokal leżał nad Bugiem więc zachodnią część zajęli Niemcy a wschodnią Sowieci. W 1939 roku ustalenie tej granicy to nie była taka błyskawiczna sprawa, to się wlokło dość długo. Dzisiaj chyba do listopada, tzn. już wcześniej była ta granica, ale ona jeszcze była taka, że ludzie przechodzili. Tak naprawdę to na serio była strzeżona gdzieś od listopada. I co się w tym czasie działo? no nic się nie działo. Nie wiem kto był inspiratorem tego palenia nas. W 1939 roku spalili stodołę.

Przed 17 września? Nie wiem na co to miało się zanosić, czy miało być powstanie jakieś ukraińskie czy coś, w każdym razie sytuacja była taka jak bolszewicy wkroczyli, to bardzo to było niechętnie przyjęte przez Ukraińców, tych zorganizowanych - narodowców jakby to powiedzieć. Natomiast było bardzo dobrze przyjęte przez tych Rusinów, którzy uważali się za Rusinów i nie angażowali się w spfawy polityczne, wspaniale było to przyjęte przez Żydów. Bo okazuje się proszę Ciebie, że ta młodzież żydowska, tak ten "lupenploretariat" taka biedota żydowska, była zorganizowana w partię komunistyczne, no i oni objęli proszę Ciebie zaraz władzę. Jednego dnia pojechaliśmy na jarmark, to ta jurna, nie pejsata, młodzież żydowska to wszątko było z czerwonymi opaskami, karabinami i to była milicja.

Skąd oni wytrzasnęli tę broń, nie wiem. Ta milicja porywała się nawet na grupki żołnierzy polskich, które po kapitulacji <sup>Kilberga</sup> Kolberga, wiesz tutaj na Wołyniu, wracali do domu. Pojedynczo było niebezpiecznie bo Ukraińcy, ci właśnie nacjonaliści tępiłi. Były wypadki, że zamordowali gościa w celu odebrania broni. To wtedy nie wiem, czy w tym czasie?

Poza tym w domu był jeszcze Bartłomowicz-mąż Cioci Wisi, który był kolejjarzem, zawiadowcą stacji w Czertkowie (Czertków to tam na południe). Jak potem weszli Sowieci, to to wszystko wiało z tamtąd, no i ten Bartłomowicz z żoną-Ciocią Wisią przyjechali do Skomoroch-takie rodzinne gniazdo. Wszyscy się zjechali i nas wszystkich wybrali i Bartłomowiczów, nas i twą Mamę. Trzeba przyznać, że to zrobili bez jakichś specjalnych

Nam (tj. mnie i Bartłomowiczowi) kazali ustawić się pod scianą, staliśmy spokojniutko, a Mama tzn. twą prabacia niezwykle energiczna kobieta, która już przeszła jedną wojnę i już umiała się z Rusinami obchodzić (bo Przemyśl i okolice kolka razy przechodził z rąk do rąk, tak, że Mama miała już wprawę jak się z nimi obchodzić) nie bardzo się tam ceregielowała z nimi, czy bała. Kazała pakować co się dało, było trochę ścierwa (akurat była świnia zabita), mąka, sama kazała sypać mąkę w paszory, w worki, ścierwo w prześcieradła zawijać, tak, że jako tako żeśmy wylądowali. Załadowali pościel, poduchy, pieżyny, tak, że nikt nie zamarzał w czasie podróży, bo było się czym otulić. Załadowali nas na trzy podwoły i zawieźli na Ronóż.

Czy prócz tego inne rodziny tej kolonii?

Oczywiście wszystkich i jeszcze kogoś z Ukraińców, to co Ci opowiadałem, że Sołtysa (wszystkich tych podejrzanych sprzymierzeńców Polaków).

Dlaczego to się działo, to nie wiem, nie potrafię Ci tego powiedzieć, ale przypuszczalnie chodziło o to, żeby oni nie mieli już po wojnie zajęcia tych ziem (przez Polaków) i chodziło o to żeby na wypadek wojny nie mieli jakiejś ruchawki z tyłu. Czy Niemcy, czy ktoś inny nie mieli zaplecza. Czy było to uzasadnione?

Celowo, czy przypadkowo żołnierze wracali raczej grupkami. Oczywiście zmordowani, zmęczeni, głodni itp. a Ci Żydki zaczęli rozrabiać trochę. Dostali po kulach tam trochę, to to ich uspokoiło. A co kombinowali ci Ukraińcy nacjonaliści, to nie bardzo wiem. W każdym razie jak weszli bolszewicy to rozprawili się dość surowo z tymi facetami właśnie, gdzie były skargi, że napadali na żołnierzy polskich. To tych facetów wykapali błyskawicznie i ślad po nich zaginął. Także ta ruchawka, która ewentualnie miała być, to ona została przez Rosjan, proszę Ciebie, zdławiona w zarodku. Do niczego nie doszło. No i myśmy spokojnie sobie żyli. Handlowali z wojakami. Kupowali kapustę, marchew.

Jak odnosili się żołnierze radzieccy do ludności polskiej? Bardzo dobrze. Mama handlowała z Rusinami-gdzieś tam, nie daleko, mieli kwatermistrzostwo,

Ja uważam, że tak było dlatego, że Polacy nie znali Niemców. Polacy znali Niemców z ostatniej wojny, gdzie ci, bądź co bądź, reprezentowali jeszcze jaki taki poziom kultury. Oficerowie byli szarmanccy, eleganccy w stosunku do pań. Żołnierz jak żołnierz, co mógł to zachachmęcić. Natomiast nikt nie przypuszczał, że Niemcy zachowają się tak, jak się zachowali i sympatie były raczej po stronie Niemców, gdyby doszło do wojny. Dlatego, że propaganda antysowiecka była tak rozbujana przed wojną, że była sączona nienawiść do bolszewików, że nie wiem, nie umiem sobie wytłumaczyć. Po co i na co? Komu miało to służyć? W każdym razie upatruję tu pewną rację- jedną. Druga racja mogłaby być taka, że wszyscy ochotnicy, którzy brali udział w 1920 roku, między innymi mój brat Adam - najstarszy, w wojnie przeciwko bolszewikom, osadzani byli na gospodarstwach. Na Podolu na pewno byłyby bardzo dobre warunki, bo to była około 40 ha działka. Natomiast, jeżeli chodzi o Wileńszczyznę, to tam ziemie były raczej kiepskie i osadnicy tam robili bokami. Wiesz, bo ziemia to jeszcze nie wszystko, musi być jeszcze inwentarz itp. Ale w każdym razie cała masa tych młodych ludzi, którzy brali udział w tej bolszewickiej wojnie dostało tą ziemię. I mogło być tak, że po co te nadania? No, po to, żeby zaludnić te tereny przez Polaków, żeby asymilować miejscową ludność, czy białoruską, czy ruską. I to by było wszystko pięknie, bo plany były cudowne, bo to miała być federacja tej ludności. Najpierw Piłsudskiemu tak się śniło, że to na przykładzie Śląska będzie miał autonomię, Rusi mieli się zejść z Polakami. Może to by coś z tego wyszło, powiedzą na przykład Czesi ze Słowakami. No, ale jakieś rogi tym naszym wodzom urosły, złapali to wszystko za mordę, Śląsk stłamsili, nie było już mowy o odrębności. Tam z początku, w tych pierwszych sejmach reprezentacja tej ludności ruskiej, czy białoruskiej, a potem to się zaczęło wysiewać. I zaczęło się formalnie kolonizować te tereny. To trzeba sobie jasno powiedzieć. Więc wyobraź sobie, że na przykład taki sobie pan Jaruzelski, gdzieś tam koło Lublina, ma hoźjajstwo swoje, jakiś nieduży mająteczek. Ponoć ojciec Jaruzelskiego był wielkim działaczem, powiedzmy sobie szerzą - cym polskość na tych terenach. No więc jak można było takiego faceta z tyłu zostawić. Próbuję tak obiektywnie na to spojrzeć i w pewnym sensie, wiesz, zastanawiam się, czy nie było korzystne to, że nas ci Ruscy wywieźli. Bo jak ja się teraz dowiaduję z lektury, jakie to były stosunekki pod okupacją niemiecką. Ja jestem święcie przekonany, że nie przeżyłbym tej okupacji. Przecież musisz wiedzieć, że ta młodzież kresowa to była najbardziej patriotyczna młodzież w kraju. Więc gdyby doszło do zawiązania powie - dzmy tej walki partyzanckiej, cała ta młodzież, wszystko poszłoby do party - zantki. Gdyby Niemcy doszli powiedzmy do granicy ówczesnej, do Zbrucza powie - dzmy, to wszystko by poszło do partyzantki. Przeżycie pod okupacją niemiecką było znacznie trudniejsze niż pod okupacją sowiecką.



nie wiem, wiesz, bo gdy chodzi o okupację niemiecką, to jest cała masa literatury i jest to proste, można się dowiedzieć jak to było. Cała masa świadectw. Natomiast, jeśli chodzi o świadków z tamtych terenów to przy - znam ci się, że jest ona dla mnie niewiarygodna. Ta relacja. Bo jest ona tendencyjna, też nie wiem dlaczego. Prawdopodobnie dlatego, że pomieszano wpływy ruskie, to znaczy ukraińskie na ten koszmar tej partyzantki ukraińskiej. Samostiny Ukrainy, tych spod UPA z, powiedzmy, rządami ruskimi. Nie były one tam na pewno łaskawe za bardzo, ale nie wiem, czy jakiś Sowiet uderzył kogoś w pysk za to, że ten mu się nie kłaniał, jak to robili Niemcy. Teraz, teraz są takie rozpamiętywania - co by było, gdyby było - ale proszę ciebie sprawa dotycząca wywozu. Zawieźli nas do jakiejś szkoły, tam w Skomoro-chach, zgromadzili to całe towarzystwo. Wagony, albo były już zamówione, albo zostały zamówione. Działo się to wszystko bardzo szybko. Raniutko nas wybrali, gdzieś koło godziny piątej, może szóstej, jeszcze ciemno było. Zajechaliśmy to było już jasno. Załadowali nas do wagonów, tego samego dnia jeszcze, więc mogła być trzecia lub czwarta. Miałem możliwość zwiać. Bo jak wyładowali nas z tych sań i władowaliśmy się do wagonów, tam żeśmy się ulokowali. Ja wyszedłem z wagonu, wsiadłem na sanie u chłopca, który jechał z powrotem. On udał, że mnie nie widzi i tak dobre dwieście, trzysta metrów i już byłem poza kordonem, poza, powiedzmy, zasięgiem tego wojska. Tamci się specjalnie nie kwapili, ale sobie pomyślałem - jak zostawić rodzinę, jechać z powrotem, po co, na co - wróciłem z powrotem. No i proszę, wszystko byłoby dobrze, dobrze / śmiech / jeszcze wracam do tego, że opowiadanie o tych rzeczach jest dla mnie bezsens, to się nie da opowiedzieć, bo to trzeba by było, albo jakieś pióro Archanioła, albo nie wiem, a taka gadka szmatka to jest zupełnie nie to. Ja na przykład teraz mówię - wszystko by było dobrze - co to znaczy dobrze, jak w wagonie jechało czterdzieści osób. Każdy ma bagaże, każdy chce się rozlokować, każdy chce się dostać do kibla, każdy chce się dostać do piecyka, każdy chce się dostać do ciepła i to się tak mówi: dobrze, dobrze, bo nikt nikomu kołków na głowie nie ciosał przecież. Przejście, rozumiesz, nie z jakiegoś komfortu, ale z go - dziwego życia, bo przecież jak się ma dom, jak się ma ciepło, jak się ma inwentarz, krowy, mleko, kury, świnię, gęsi, gdzie masz tego jedzenia pod dostatkiem, jak masz sęgi drzewa poukładane, proszę ciebie, i węgiel, bo jeszcze ci trzeba powiedzieć, że jak się Sowieci cofali, znaczy nie Sowieci, jak ta granica się tak ważyła, to Sowieci mówili, żeby cały węgiel ze stacji kolejowej. Na stacji kolejowej było od cholery węgla, za Bugiem, po niemieckiej stronie. To praktycznie Rosjanie mówili - bier, bracie, skolko ugodno. Każdy jechał, ładował i wio do chałupy. Tak, że myśmy mieli tego węgla, tego drzewa conajmniej na dwa, trzy lata. I teraz z takiego, bądź co bądź, komfortu, proszę ciebie, wrywają i wsadzają do kilku metrów kwadratowych w wagonie, gdzie wiatr, bracie, nula między deskami. To jest jakaś zmiana.

No i mówię, że jest dobrze, jest dobrze, / śmiech / świeżutki, czyściutki bierze się śnieg do wiadra, stawia na piecyku, gotuje się woda, chleba nie było. Da się jakiejś mąki, jakąś kałapućkę się zrobiło, zupa nie zupa. I jedziemy. Ale kłopot z mamą i z dziećmi. No bo mleka nie ma, nie bardzo jest czym takie maluchy karmić. Zrobiłom się jakiejś zacierki, jakieś substraty z tej mąki. Ale mama chora była, proszę ciebie, co to była za choro - roba, nie umiem ci powiedzieć. Mimo, że mama się leczyła u lekarzy, ten lekarz z przychodni, prywatny, dobry lekarz. Chudzinka, bracie, i tak dogo - rywała. No, potem, wiesz, jak się jedzie, jedzie, no to towarzystwo się za - przyjaźniło, a jedzenia brakowało, bo się wyjadło, to zaczęliśmy kraść. Podkłady kolejowe na dworcach, żeby było czym pod piecem palić. toczyło się życie, każdy jakoś tam, żeby gdzieś nareszcie dojechać.

To znaczy, że taki transport nie był pod strażą ?

Prawdopodobnie był, tylko nie bardzo się odczuwało. Jaka ona funkcję tam pełniła ? Nikogo nie zastrzelili. Drzwi były otwarte, można było wiać.

Czy były jakieś próby ucieczki ?

Nie. To znaczy, one by mogły być na terenie Polski, jeszcze gdzie ten żywioł polski przeważał, to jeszcze może by coś było, ale w drodze to już nie.

Jechaliśmy cholernie długo, nawet nie potrafię ci powiedzieć jak to długo trwało.

A tak mniej więcej ?

Około miesiąca. Z tym, że potem, proszę ciebie, ostatnia nasza stacja to były / ja ci na mapie pokażę / Szangały. I tam tor kolejowy się kończył. Przyje - chały ruskie, takie śmieszne, same takie niziuteńkie koniki, takie kudłate, malutkie, zdawało się, że to więcej do kozy podobne, do osła, a to okazało się, proszę ciebie, że to koniki są. Niosły, dranie, mocne i odporne, nie do zderzenia. No, ale saneczki takie nieduże, tobołów było sporo. Ile taki pociąg może mieć wagonów : trzydzieści, może trzydzieści pięć. I potem to wszystko na te koniki przeładowali i zawieźli nas, proszę ciebie, do posiołka - wieruskij posiołek w powiecie wielskim, wielskiej rajon. O co tu chodzi ? Tu już się zaczyna taka romantyczna legenda. Jest przy tym posiołku piękne jeziorko, duże pole wykarczowane pod uprawę, jest ogromny cmentarz, a ludzi nie ma. Miejscowa ludność ograniczała się do administracji. Byli to : naczelnik tego, majster kiesa, jeden NKWD - dzista, dwie nauczycielki, proszę ciebie, i instruktorzy, którzy mieli nas uczyć robić, tudzież personel taki, powiedzmy, kwatermistrzowski : gdzie kogo rozsadzić, prowiant przywieźć odwieźć itp.

Chwileczkę, to znaczy, że cały ten transport pojechał do jednego miejsca ?

Tak. Do tego jednego posiołka. Były to domy, proszę ciebie, zbudowane z bali jodłowych, takich okrągłaków, utkane mchem, bardzo ciepłe i trzeba przyznać, że obszerne. Dużo tych domów było. Co się okazuje, okazuje się, proszę ciebie

że te domy to pozostałość po wysiedlonej onegdaj ludności ukraińskiej. Nie wiem kiedy to było, ale wydaje mi się, że to było gdzieś około trzy - dziesiątego roku, wtedy co był taki głód. Powstały rozruchy, dość znaczne, i oni, proszę cię, tych Ukraińców powywozili do tego lasu i wysypali w las i ci ludzie musieli sobie najpierw pobudować te domy, wykarczować las, no i żyli z zarobku. Żyli z tego drewna, które wyrębywali w lesie, spławiali je, a część z uprawy ziemi, którą zyskali po wykarczowaniu tego lasu. W tym czasie jak myśmy byli: oni już dawno byli wolnymi ludźmi, każdy albo już sobie pojechał w inne strony - w cieplejsze kraje, albo wrócił tam skąd był zabrana, albo na Syberii. No, w każdym razie rozjechało się towarzystwo. Tam niedaleko powstał kołchoz, który przejął tą ziemię pod uprawę, a część tej ludności, o której ci opowiadam, była po prostu po to, aby utrzymać te obiekty w dobrym stanie. Może to były te, może wyremontowali przed naszym przyjazdem, w każdym bądź razie dostaliśmy taki pokój, jedno duże pomieszczenie z piecem, takim ogromnym. Tam żeśmy się wyładowali, do tego miejsca, cała rodzina: babcia, prababcia z dwoma córkami, Bartłomowicze, ja i ciocia Hela: razem osiem osób, ale to były prycze porobione, można się było nawet polokować. Oczywiście nie było miejsca na pohulanki, no ale na pryczy położyło się bety, pakunki jakie były - pod spodem, piec : no, na piecu to można było urzędować. Drzewa było pod dostatkiem, trzeba przyznać, że organizacja - jnie to było dość sprawnie zrobione. Na drugi dzień, proszę cię, przyszli ci instruktorzy zapisać, znaczy najpierw ten szef, tem majsterlessa, zapisać ile jest osób do wyżywienia, kto do roboty, kto nie do roboty. No, kto do roboty to trzeba było wyfasować narzędzia: siekiery, piły, takie drągi do obracania drewna, do tego trzeba było sobie zrobić toporzysko albo zapłacić temu instruktorowi rubla, żeby zrobił. No to myśmy proszę cię ze szwagrem na następny dzień już poszli do roboty, mama oczywiście została, dzieci zostały, prababcia została i dziewczyny też. Znaczą ciocia Wisia i ciocia Hela też poszły do roboty z innymi kobietami odgarniać śnieg. A myśmy sobie wybrali, / śmiech / nam się ubzdurało, że my jesteśmy wielcy koniarze, wiesz, że będziemy zwozić drzewo opałowe na posesję, bo myśleliśmy sobie tak: Przyjedzie się z lasu to się trochę pogrzej, coś pokombinuje, pojedziemy znów i jakoś tam będzie. No dobra. Przychodzimy do tej koniuszki, gdzie były te konie, a on: Proszę bardzo, masz konika i jedź. No ale ubierz takiego wariata jak on z tą długą, wiesz, cholera, człowiek pierwszy raz widział. No to ten koniuszki przyszedł, zaprzął tego konika, teraz znów, czy siadać na te sanie we dwóch, czy uciągnie? No, próbujemy. Siadamy na te sanie, a konik ciągnie, przyjechaliśmy do lasu, myśleliśmy, że to drzewo jest takie, że tylko brać, a to się okazuje, że trzeba chodzić po lesie, bo były powycinane tak zwane suchostoje, to znaczy jodły, które uschły, nie wiem, czy to z uwagi na kornika, ale mniejsza z tym. To chodził facet, proszę cię, po lesie, ścinał tam, gdzie upadła, obcinał gałęzie, zostawał ten chłyst - strza

ka i jak chcesz wieźć, to wyciągnij to sobie. Po się brato konia, gonitko  
w las z przyzwoitą leką i on to wyciągał lekko, i to taki kon, co to  
się zapadał w tym śniegu. On jak się zapadał, to we dwa metry tego śniegu,  
i on jak się zapadał w ten śnieg, to tylko głowa, jak nad talą prut w tym  
śniegu, niesamowicie swobodnie się tam porusza. Proszę ciębie, mójmy zna-  
leził takie dwie kłody, ale myśmy to wyciągnij ze szwagrem, obrócił się samie  
nanięsił, wyciągnij z lasu te dwie kłody, przytoczyliśmy do tych sanek i do  
domu. Zmordowani jak sabaki, bo to gdzie w takim śniegu. Przyjeżdżamy, a tu  
noc już, drugi raz nie obróćmy. Przychodzi ten przijomszczyk i mówi: Skoľko  
wy przywieźli? No i te dwa wziął, kłemy pomierzył: osiemdziesiąt kopiejek.  
Catego zarobku na dwóch: gdzie chleb, kilogram chleba, kosztuje rubla.  
Nie zarobiliśmy, bo pracującemu przysługuje kilogram chleba, a niepracują-  
cemu czterdzieści deka. Dzieci dostawały chleb razowy, smaczny chlebek, ale  
taki, jakby na zarnach, nie taki jak u nas, jakiś graham, tylko żyto mielone  
grubo, pachnący, smaczny chlebek. No, ale dziecko nie będzie jeść, babcia,  
mama, dzieciaki to miały potąd tego chleba. No, a my kilogram, apetyt cho-  
lerny, bracie, powietrze jak mahor, czkowiek się umordował jak nieludzkie  
stworzenie w tym śniegu. "A niech tu szlag trafi!" - mówi do Bronka - "Co tu  
wykombinować, bracie, przy takim zarobku, co tu robić? Trzeba coś innego."  
Idziemy do tego faceta i mówimy: "Wiesz co, my tu nie umiemy z tym koniem  
robić!" "Dobra." - mówi - "Zorganizujemy brygadę do wyrębu lasu, będzicie  
wiecej zarabiać." "Co ty chcesz robić." - mówi do Bartkomowicza. A on mówi:  
"Ja jestem walny nełot, ja mam tubyrkulozu / śmiech / u tiebia. Uuuu!"  
A to bajernik był nie z tej ziemi. Poszedł do tego wracia-tubyrkuloz. No,  
jak tak to musi leką robotę dostać. Coś mu tam dał do roboty, czy jakąś  
kopate strugał z olchy. To się pięknie struga z olchy, i jakies łopaty do  
śniegu robił. "A ty Kazimierz - ja nie wiem. Ty pójdziesz z dziewuszkami  
śnieg odgarniać." "Ja sobie myślę: "Byczo jest, z dziewczętami jakoś tam wy-  
robię." Ale nie miałem zielonego pojęcia, co to za cholery są te dziewuszki.  
Nieduże, takie metr sześćdziesiąt, toczone, toczone! Okrągłutkie, zgrabnu-  
tkie - nie do zdarcia cholery. Tak mocne i tak wytrwale, wiesz, że cholera  
wie, czy mrówka jest taka mocna. Jak ja poszedłem z nimi, bracie, to one:  
"Parten do nas prziszot, parten!" Chłopak do odrzucania śniegu. A ja cicho-  
pisko byłem test, takie bary się porobiły, a one się śmieją, że parten.  
Jak mi pokazał, jak to się robi, to ja się do koszułki rozobrałem i jeszcze  
pot się ze mnie lat przy dużym mrozie. Niech cię drzwie przycisną. No, ale  
ambit bracie brat. Śniegu nakapat, mięśni nie czuję, wszystko boli. Kano  
gong, a ja galareta, obolały. No, ale co, dzieweczyny pracują, to ja nie  
mogę pracować! I proszę ciębie, za taką duiówkę to się dostawało rubla sze-  
śdziesiąt chyba - nie pamiętam dobrze. No to już było chleb całość i jeszcze  
ci zostawało sześćdziesiąt kopiejek do zupy. No, proszę ciębie, za dużo nas  
było na tym posiołku, a były punkty tak zwane, to znaczy, takie punkty lesne

w tajdze, gdzie nie było dookoła nic tylko tajga. Budyneczki wybudowane, i nas z Helą, proszę cię, zabrali na taki utaszczonek, co się nazywał Porsza. To było jakieś dobre piętnaście kilometrów od tego pasiołka. Wyszliśmy raniusieńko, pobudka była o szóstej, o siódmej się szło, przychodzimy tam, proszę cię, a tam takie nowiutkie baraszki stoją, z kominów się dym. Jest taki oborszczyca, to jest taki porządkowy, bo tam już nie było rodzin, tylko sama brać robocza do roboty. No i instruktorzy. Jeden instruktor, a brygada wynosiła pięciu ludzi i szósty instruktor. Praca polegała na tym, że jeden człowiek szedł i obcinał jodłę, dwoje obcinało gałęzie, trzeci sortował to drewno według jego przydatności, po uprzednim instruktarzu oczywiście, i rozcinał piłą w poprzek na jakieś kawałki. Następny szedł, odwracał to, co było na spodzie i te sęki czyścił z dołu, które gałęzie były podłamywane i ściągał na takie hałdy, większe kupy to drewno i wypracowywał drogę, żeby można było przejechać saniami środkiem przy zwózce. Zacząć trzeba było od tego, żeby wyciąć brzozy, z brzoź zrobić takie rusztowanie, żeby te jodły, które pości-nasz, ci nie wypadały w śniegu bo byś ich nie znalazł. Śniegu dwa metry mniej więcej. A jak spadła ci na te brzozy, to już nie szła ci do samego spodu, tylko zatrzymywała się. No i oczywiście krzaki i chaszczki z tej drogi, że mógł przejechać swobodnie. No i tak to szło. On nam pokazywał jak należy robić. I oni pracowali z nami do wiosny, do spławu. Jakże, no fajnie się z nimi pracowało, grzeczni cacy, uczynni, dobrzy ludziska. Widzisz, ktoś może mi zarzucić, że jestem jakimś rusofilem, czy czymś w tym rodzaju, ale powiadam ci, że kontakt z tą ludnością, z tamtą, no, niezapomniane wrażenie we mnie zostało. Na-prawdę tak porządni ludzie. O mentalności takiej - prawie że dzieci, poczciwe to, nie wykantuje cię, nie ukradnie ci, pomoże ci zawsze, tak że byłem naprawdę zachwycony. Potem się nawet zakumałem z tymi instruktorami, oni mieszkali osobno, a ja przychodziłem do nich czasem. Wypytywali mnie o rozmaite historie, jak to w Polsce się żyje, jakie my mieszkania mieli. Widzisz gdyby taka sytuacja zaistniała, oni muszą być nastawieni na to, że jeżeli kogoś wywożą, to wiadomo, że coś on tam przeszkrobał, tak że to nie jest taki facet, co to za darmo się wywozi. Bo gdyby u nas przywieźli bolszewika i wsadzili go w ludność taką osiadłą, to by go zjedli, naprawdę by go zjedli. Natomiast tam był stosunek zupełnie inny do nas, naprawdę ci ludzie - ja ci opowiem potem kilka takich sytuacji, że u nas to nie do pomyslenia - apsolutnie. No i fajno. System opłacania teraz był taki, że były normy, były normy na ilość wyrębanego drzewa i ilość norm na sezon. Na przykład: sezon miał, nie pamiętam teraz dokładnie, ale założymy, że w ciągu sezonu zimowego miałeś wyrobić 1000 norm, a norma poszczególna zależała od tego, jaki to był las: cienki czy gruby. Bo jak wszedłeś w gruby las, to trzeba było na jednego łepka w brygadzie, trzeba było 12 kubików drzewa ściąć, natomiast, jak ten las był drobny tzw. "papierówka", "bumażnaja bałanka" jak oni to nazywali, to wystarczyło 2 kubiki, 2,5 czy 3, z tym, że tych jodełek to trzeba było nakosić

bo to był drobiazg. Do 40 norm dostajesz za każdą normę umownie dwa ruble. Jeżeli przekroczysz już 40 norm, to dostajesz 2,5 rubla, 60 norm 3 ruble za normę. O co tu chodziło: o to, żebyś jak najwięcej, jak najbardziej robił. Bo im prędzej zrobiłeś ileś tam norm, to ci cena tej normy skakała do góry, tak że jak wyrobiłeś 100 norm, to już miałeś rubla za rubla, to co na początku dostałeś 2 to teraz 4 ruble. I to był biznes, jak się z początku brało ostro do roboty, żeby dojść do tych 100 norm, bo potem jak już miałeś 4 ruble za normę, to już byłeś gościem, dziennie zarabiałeś 10-12 rubli, to już był grosz. No i potem tłukło się już do wiosny. Z tym, że były brygady, które pracowały na zwalce tak zwanej, to znaczy ścinanie drzew, sortowanie itp. Potem byli zwoźczycy, którzy wywozili to drzewo z lasu i składali na skarpach strumieni leśnych, żeby jak przychodziły roztopy, to woda zabierała wszystko i niosła do grubszych rzek, potem do Dźwiny i do Archangielska spławiało się to drzewo. Olbrzymie ilości, setki tysięcy kubików, ogromne ilości. Teraz ten sortowocznik, który rozcinał to drzewo to był piłowocznik - drzewo do przetarcia, awiasroj - drzewo wyjątkowej urody na sklejki lotnicze, cudostroj - masztowe drzewo, to były jodły po 40 metrów, jak świeca. I tak dzień po dniu, dzień po dniu człowiek się przyzwyczajał, krzepy dostał niesamowitej. Wiesz, ja ważyłem około 70 kilogramów tam, ale nie było ciężaru którego bym nie podniósł, mimo że te kłody, tam przyrost jest niesłychanie mały, przyrost roczny jest około 2 cm., tak że słoń na słońcu, drzewo jak wrzuciłeś do wody, to go nie było widać, taki ciężar, więc ciężki jest niesamowicie. Było to takie drzewo, nie można było za każdym razem się bawić drągiem, dźwignie stosować, trzeba było brać w łapy, rzucać z miejsca na miejsce, przepchnąć i to tam ci nikt nie pomagał. Każdy robił co trzeci dzień, bo nas w brygadzie była piątka, trzech chłopaków i dwie dziewczyny, które ustawicznie tylko gałęziami się zajmowały, to znaczy obcinały i paliły. A my w trójkę - rotacja, były takie kanadyjskie piłki, bardzo śliczne piłki zresztą.

W brygadzie byli: Broniek Dobranowski / z rawczyzny, z kolonii /, Wójcik Antek, to było dwóch takich, Lwów, wiesz, że chłopcy na schwał. Potem ten Wójcik w lotnictwie służył, został w Anglii, tam się z Angielką ożenił, z nauczycielką, a co się z tym Bronkiem stało to nie wiem. Wspaniały chłopak, z tym że ten Wójcik to był chłopski filozof, a ten Broniek to był taki dobroduszny, wiesz fajny chłop. A te dwie babki, to jedna była Marysia Sołtysówna, też z rawczyzny, a druga była Gienia, ale nazwiska nie pamiętam. Wiesz, myśmy sobie tak kołatałi, pieniędzy mieliśmy dość, jak wyjeżdżałem z pasiołka miałem około 300 rubli w tym, że to co było w sklepie do kupienia, walonki, bo się zużywały, szubka jak się chodziło po tym mrozie. No, poza tym zupa, chleb, czasem był cukier, jakaś kasza na deser, to się wszystko kupowało. Co było wspaniałe - to potęga, siła, która człowieka rozpierała rano.

Do wybuchu wojny pracowało się 8 godzin normalnie i niedziele wolne. Po wybuchu wojny zaczęło się pracować 12 godzin bez wolnych dni. Jeżeli sobie wyobrazisz, że do roboty się szło od 7 do 9 kilometrów, zależy od tego, gdzie ta

pałaszadź czas liczył się od wyjścia, od gongu. Dojść też nie bagatela, bo niesiesz dwie piły, siekiera, nie siekierka, tylko siekiera taka dwu kilo-  
 wa. Przeszpulać 7 czy 8 kilometrów to jest też nieźle. Tam musisz zasuwać,  
 bo nikt cię nie pilnuje, nie pogania, a mróz cię pogania, bo do 50 stopni  
 się pracuje. Do 50 stopni, ty sobie nie wyobrażasz co to jest za mróz, to  
 nie można opowiedzieć, bo się mówi 50 stopni i co z tego wiesz, nic nie wiesz  
 że 20 czy 30, co to za różnica. Nie kolego, 50 stopni to jest taki mróz, że  
 jak wyciągniesz rękę z rękawicy, to ci zamarza skóra, rozumiesz! Widzisz  
 jak ci zamarza skóra, ta skóra ci się marszczy momentalnie. To jeszcze za-  
 pałka nie chce ci się zapalić. Musisz zapalczkę otulić, jak ją zapalasz,  
 żeby ona w tym ciepełku się paliła. Jak sikasz, to faktycznie siki zamarzają  
 na mrozie, taki jast mróz. Mróz, gdzie nie możesz oddychać, tylko musisz węż-  
 chać powietrze, dosłownie wężać i musisz być zakutany tak, żebyś wszystko  
 miał zakryte. Zresztą szron osadza ci się na twarzy, tak że robi ci się tak,  
 że jak to foka, jak wygląda czasem spod lodu, to tak samo ty wygladałeś.  
 Jak oddychasz tak fest, to masz odmrożone płuca i nie ma rady. Płuca ci  
 gniją, wypluwasz i jesteś załatwiony. Więc mróz cię popędza, musisz się ru-  
 szać, bo inaczej zamarzniesz, więc nie ma mowy, żeby sobie siadać, pogadu-  
 szki prowadzić, pleść jakieś opowiadania, tylko musisz pracować. Oczywiście,  
 że ze skóry nie wyłazisz, bo nie ma powodu, ale pracujesz cały czas. Co się  
 robiło. Więc jak wojna się zaczęła, to, oprócz tego że robiło się to, co do  
 tej pory, to znaczy pozyskiwało się drzewo na przecierkę, na budownictwo, na  
 samoloty, maszty itd., to zaczęło się strugać bałanki. Bałanka to - na polski  
 można przetłumaczyć kształtownik, jakaś kształtka, coś takiego. Ta bałanka  
 była z brzozy na narty, na kolby do karabinów i do pepesz. To się szło po le-  
 sie, wybierało się brzozę, taką ładną, ścinało się ją i odpowiednio kawałko-  
 wało. Potem jechał facet końmi, zbierał te wszystkie kawałeczki, zwoził to na  
 plac. Na placu były piły, takie traki, jeden na górze, drugi na dole, cięli  
 to na odpowiednie paski. Najpierw trzeba to było obrobić z dwóch stron, żeby  
 to leżało ładnie w odpowiedniej szerokości, to się kładło na odpowiednim ru-  
 sztowaniu, gdzie traczy się to, i różno się. Potem zaczęliśmy, fajnie zro-  
 biliśmy, bo nie było norm na te bałanki rozmaite. Przyjechała taka pani z po-  
 wiatu, trzeba przyznać, że bardzo przastojna pani, pięknie ubrana, walonki  
 eleganckie, białe / normowszcik /, ona miała ustalić normę na poszczególne  
 czynności. Myśmy z Bronkiem Bartłomowiczem zabrali się do obcinania boków tym  
 kłocom brzozowym. Bartłomowicz, stary babiarz, zaczął dogadywać: pstro, śmo  
 i, proszę ciebie, ona wynormowała nam tak te obstrugiwanie tych boków, że  
 myśmy, tak lelum polelum, zarabiali duza grosz. Tak, ona poszła i ustaliła  
 te normy, a ci, którzy się tam uwijali, norma wyśrubowana dość była, trzeba  
 było grzać. No, nikt nie był taki głupi, żeby to mogło trwać długo. Jak się  
 majser połapał i powiedział: " Wam jest tu za dobrze. " I zmienił przydział  
 roboty. Wiesz, nie odczuwam tej roboty jak jakiejś katorgi, to było tak, że  
 jak się wracało z roboty, to człowiek był tak wypompowany cholernie, że aż

płaty takie latały przed oczami, przyszedł do bani, wyparzył się w tej cholernej bani, zżarł z niesłychanym apetytem na kolację to, co miał do pożarcia, przespał się, jeszcze mógł po kolacji, jeszcze się chciało, na tołkuskę iść. Wic polegał na tym, że ten ruski personel, ci instruktorzy, potem już swoją brygadę miał, nas już nie uczyli, tylko sami rąbali, aż ich zmobilizowali. Jak zmobilizowali wszystkich to zostali starzy i baby, i majsterlesa i jego nawet biedaka wzięli, ale szybko wrócił, gdzieś po dwóch, trzech tygodniach wrócił, dez ręki.

To oni tylko z bani, wytarzał się facet w śniegu, wrócił do bani, umył się w zimnej wodzie i szedł, bo oni w stołówce się stołowali, zjadł to, co miał do zjedzenia: i harmoni, i guliajem! I ty wiesz, że oni różnili kopytami nieraz godzinami całymi, aż trzaski leciały. Po takiej harówce! Myśmy niestety ustępowali, ale jak się budziłem rano na gong - inny człowiek - potęga w rękach, taka bomba energii, nie wiem skąd to się brało, na pewno nie brało się to z tego wikt, bo ten wikt to był, chociaż kilo chleba na łep, to sporo tego razowca i tam jeszcze coś do tego, jakiejś kaszy, czy coś takiego. Powiadam ci to tak, że zaraz pójdę i chałupę zacznę podnosić za węgieł, brał człowiek i szorował do tego lasu z taką energią, że jak nic spustoszenie zostawi. Strosznie. Szedł i znów rypał i wieczorem jak kapeć wracał i znów ta bania, i tak w koło, koło do znudzenia. W każdym razie miałem kilka za-targów, ale po głębszym zastanowieniu to one nie wynikały i niczyjej, powiedzmy. Szykanowania, no może i szykanowania, bo człowiek był pyskawy. Jak ja sobie przypomnę, jak ja się użerałem z tymi Rusakami, no to Niemcy by mnie sto razy zabili już w tym czasie. Jak ja do takiego majstra czy nacialnika " per ty ", po matiuszkie, po babuszkie tak, jak do furmana, a tu gość niby reprezentował jakieś władze do cholery, a oni to cierpliwie znosili. Uspokajał: " Kazimir, Kazimir nie rugaj! " Teraz więc naprawdę z sympatią to wspominam, jeżeli przyłożę sobie te stosuneczki okupacyjne tu, jak ja bym do Niemca tak zaszurał, to czapa, nie ma kwestii. Na pewno bym zaszurał, bo sytuacje czasem były tak podbrankowe, że ja bym nie zcierpiał. Były takie spięcia. One wynikały bardziej z tego, że człowiek nie bardzo sobie wyobrażał dyscyplinę, taką społeczną, no bo skąd. Chłopek to taki pan na zagrodzie, a do szkoły człowiek chodził, tam wprawdzie był jakiś rygor, no ale nie wyobrażałem sobie takiej społecznej dyscypliny, że jest dzień pracy i nie można go opuszczać. Co to znaczy: " Nie wolno. " Jak ja robię za pieniądze, ja nie idę do roboty i nie zarabiam - ja sobie to tak wyobrażałem, kombinowałem. Nie to, że nie wolno opuścić, co to znaczy nie wolno? - nie płacicie. No i były takie scysje, że ja chciałem do mamy pójść, do tego posiołku, gdzie została. Potem przenieśli mamę na indruskij posiołek, chciałem się skontaktować, zobaczyć jak tam żyją, co się dzieje, jak sprawy stoją. No i facet mnie nie puszcza. " Nie nie pójdiesz Kazimir, nielzja. " Tłumaczę jak ryzon krowie: " Chłopie, co to znaczy nielzja, przecież mi nie zapłacisz za ten dzień, kiedy pójdę! " No i rzeczywiście nie puścił i chciałem faceta podpalić w cha-



łupie. chciałem zamknąć go w chałupie, podeprzeć drzwi od zewnątrz, pakami obłożyć i podpalić dziada. Tak mnie wkurzył. No i potem się okazało, że on nie mógł mnie zwolnić, nie było racji takiej, żeby mógł to zrobić. Troszeczkę wybiegliśmy naprzód, bo jeżeli idzie o chronologiczny bieg wypadków, to, to co opowiadam teraz nastąpiło w późniejszym okresie. Minęliśmy tutaj jedną bardzo ważną rzecz, mianowicie to, że przecież w 1940 roku w maju zaczęła się wiosna. Ta wiosna północna to jest dość oryginalne zjawisko. Tak samo niby jak u nas, ale w klimacie kontynentalnym ta zmiana pory roku jest bardzo ostra. Wic polega mniej więcej na tym, że jeżeli zapowiadają znawcy przedmiotu, że zbliża się wiosna, to na pewno w przeciągu dwóch, trzech dni wiosna się zaczyna i rzeczywiście tak było - jeżeli zapowiadali wiosnę na 15 maja to 15 maja rano zaczął padać deszcz. Ten deszcz na zmianę ze słońcem, tak mniej więcej nękał przyrodę dwa tygodnie. W tym czasie te ogromne zwały śniegu, które zalegały przez całą-wiosnę- zimę, zaczynały błyskawicznie topnieć, ale też i ostrość słońca jest niesłychana. Jest znacznie gwałtowniejsza niż u nas, bo temperatury dochodziły w dzień do 30 stopni nawet. Jak zaczyna ten śnieg to ~~przebiegał - deszcz - słońce - śnieg - deszcz - słońce - śnieg - deszcz - słońce - śnieg~~ w tym terenie zaległoby, płynęły w takich-

pnieć, te rzeczki, które w polodowcowym terenie zaległy, płynęły wtakich jarach, dość głębokich, na zboczach tych jarów układało się sztaby drewna do spławu i kiedy się woda ogromnie podnosiła, a podnosiła się w granicach 10 metrów od stanu normalnego, to zabierała, podmywała to drewno, te sztabe, tak nazywano to drewno, i niosła ze sobą i zaczynał się okres spławu. Oczywiście myśmy nie mieli o tym zielonego pojęcia. Słyszeliśmy z opowiadań, ale opowiadanie tam takie, gdzie każdy na swój sposób sobie to wyobrażał. Nie było czasu, żeby debatować nad tym, po prostu majster wyznaczył brygady, wyznaczył odcinki rzeki, które trzeba było pilnować, żeby nie porobiły się zatory i staliśmy się flisakami. Zaczęliśmy spławiać to dr<sup>e</sup>wno. Oczywiście do każdej takiej grupki flisaków nie obeznanych z rzemiosłem dołączał specjalista, który już miał na sumieniu kilka takich spławów. I spławialiśmy. Wic polegał na tym, żeby nie dopuścić do tego, żeby to drzewo, które płynęło w grubej warstwie pchanie przez tą wodę, w okropny sposób zresztą, taka fala wody to niosła nie tylko drewno, a było tego miliony kubików, bo nie tylko z naszego terenu, ale też z okolic, gdzie też wyrębywano ten las, ta woda to formalnie rwała te brzegi, ze wszystkim tym, co na tych brzegach rosło. Drzewo nie drzewo, chaszczce nie chaszczce, to wszystko sunęło w stronę głównej rzeki. Trzeba było niesłychanie uważać, bo jakby się ktoś zaplątał w taką sytuację, gdzie to drewno się kotłuje, gdzie grube pnie pękają jak zapalki, to mogłoby faceta zmielić. Trzeba było mieć uszy i oczy otwarte, żeby się nie dać zgnębić. Trochę weselej już było jak ta fala spłynęła i było trochę prześwitu na wodzie i można było trochę odetchnąć, bo nie trzeba było biec po brzegu za tym drewnem, tylko można było zrobić tzw. "gonkę", jedno grube polano się wybierało i stawoło się na tym polanie balansując bosaliem i można było płynąć z biegiem tej wody. Jak ktoś się bał, to mógł dwa czy trzy związać wiciami brzoźowymi i stawoło

się wtedy na takiej tratwce i płynęło się z biegiem dopóki się 18  
coś tam niebezpiecznego nie wyda<sup>ło</sup>ło i trzeba było natychmiast do brzegu  
dobijać i biec i ratować sytuację. Jak ta główna fala przeszła, zabrała to  
drewno, to oczywiście nie bez tego, że cała masa drzewa pozostała na brzegu  
gdzieś poroznoszona przez wodę, jak ta główna fala przeszła, woda opadła,  
o kilka metrów poziom się obniżył, a to drewno na brzegach zostało. Trzeba  
było to drewno z brzegów ściągnąć do wody i ta reszta tej powodziowej fali  
zabierała to. To się nazywało fachowo - zaczystka, chwost czyli ogon.  
Ja zostałem między innymi też przeznaczony d<sup>o</sup> tej zaczystki, robota była  
ogromna, bo to się nie liczyło żadnych godzin, tylko trzeba było pracować-  
aż się zrobiło robotę. Nocowaliśmy wtedy, jak tak z biegiem rzeki się biegało  
z dala od swojego osiedla, w chutorach. Były takie chutory porozrzucane  
wzdłuż rzeki, takie małe gospodarstwa, nie wiem czy na zasadach indywidua-  
lnych gospodarstw, czy też takie małe kołchoziki, czy czort wie co? W każ-  
dym razie były to osiedla albo też pojedyncze chutory. Dziennie przebiegało  
się kilkadziesiąt kilometrów. Gospodarz wydzielał jedną, czy dwie izby,  
bez względu na to, ilu tych chłopów było tam, wszystko się to ładowało  
i kamiennym snem zasypiało w mokrej odzieży, w mokrych butach. Wszystko to  
parowało, tak że rano atmosfera była niesamowita, już nie można było nożem  
kroić, ale siekierą to powietrze. Każdy jakoś się tam pozbierał rano. Naj-  
gorsza heca była z wyżywieniem, bo kuchnia zawsze z tyłu i nie wiem czy  
ona nie chciała w celu zaoszczędzenia, nie chciała nas dopędzić, czy też  
nie mogła nas dognać. W każdym razie myśmy byli tak żywieni, trochę na za-  
sadzie takich psów, tylko chleb i dorsz solony. Człowiek jak pożarł kilo-  
gram tego chleba, takiego dorsza solonego z beki to szkoda było nosić, bo  
by to się zjadało na raz. Potem trzeba było grzać. Potem napił się tej wody  
takiej pośniegowej z pierwszego lepszego bajora, aż w brzuchach bełkotało.  
To było coś kapitalnego, jak człowiek biegł, a ta woda bul, bul, bul.  
Tu ci mogę opowiedzieć o takiej anegdotce, jednej właśnie nat<sup>ym</sup> spławie.  
Uciechy było masę, bo jak ktoś spadł do wody, to jedynym ratunkim było to,  
że się musiał rozbierać. Paliło się ognisko, bo to przecież było nadal zimno  
dookoła tego ogniska biegał, aż mu wyschły ciuchy na tyle, że mógł je ubrać  
i biec dalej. Jednego razu, słoneczny dzień, ciepłutki, wszystko porozpina-  
ne, gdzie tylko mógł, żeby powietrze do skóry dopuścić. Pędzimy z tą wodą  
szaloną, ale zatrzymaliśmy się w jednym miejscu na taki odpoczynek, na tzw.  
" zakurkę." Patrzymy, a rzeką płynie tratwa, duża tratwa, ogromna, zbita na  
środku, kocioł, ogień się pod kotłem pali i zupka się gotuje. Powarychy w  
białych chusteczkach - raczej w białych fartuchach i czerwonych chusteczkach  
jak makówki. Kucharz jak kwoka tam się krząta, chodzi koło tego kotła. Nie-  
spodziewali się biedni, że niedaleko, jakieś 200 metrów przed nimi, jest  
taki próg na rzece, nie wiem, czy to był jaz zalany, czy jakiś skalny próg.  
W każdym razie różnica była / poziom / jakieś 2,5 czy 3 metry. Wody było  
dość sporo, tak, że nie było widać, co tam się dzieje. Zaczynamy krzyczeć

do tego kucharza, że tam jest próg, że trzeba zatrzymać tratwę i przenosić wiktuały. No, rzucił liny, zamontowaliśmy tę linę za drzewo, zaczęło tę tratwę znosić do brzegu, ale w ostatniej chwili ta lina pękła i koniec. Tratewka odbija od brzegu na środek rzeki, kucharz rzuca drugą linę asekuracyjną, ale to już było za późno, bo była za cienka. Tratwa nawet nie drgnęła, jak urwało tę drugą linę i cała kuchnia z tymi kucharkami wali w stronę tego progu. Dochodzi na ten próg, tratwka się przewala, wszystko: zupa, worki z mąką, z kaszą, wszystko do wody, a ta tratwka nakryła pasażerów i po chwili z woyd czerwone główki kucharek. Jednak to wesoło i ślicznie wyglądało, te czerwone główeczki w wodzie, przecież byli w kufajkach - to szybko wodą nasiąkli, woda ich niesie, a my jesteśmy odezwołnieni śmiechem. Nie możemy kroku zrobić, bo każdy boki zrywa, łamie się, choć sytuacja jest tragiczna, ale nie można powstrzymać się od śmiechu, bo kapitalnie to wyglądało. Zanim myśmy się opamiętali, to ten kucharz z tymi kucharkami już wpłynęli w taką część koryta rzeki, że przy brzegu były chaszczce i w tej sytuacji nie można nikogo ratować, bo nie ma dojścia, bo te chaszczce na kilka metrów od wody ani osenką nie można do wod-y sięgnąć. Kucharz i kucharki musieli przepłynąć ten pas zarośnięty tej rzeki, dopiero jak brzeg był czysty od chaszczy i na szczęście rzeka skręcała troszeczkę w lewo, tak że nagoniła kucharza z kucharkami bliżej brzegu w zasięg osenka. Wtedy dopiero zaczęło się brać bosakami to towarzystwo i wyciągać na brzeg. No oczywiście, wszystko zmarznęte do szpi-ku kości, wszystko do golutka się rozbiera, ogień się pali i tak jak kiedyś w młodzieńczych latach, człowiek widział takie tańce murzyńskie, gdzieś dookoła ognia, czy jak w tańcu indiańskim tak samo tu, łachy na patykach rozwieszane, a te dziewczuszki dookoła ogniska ganiają, tylko im te cycuszki latają. Coś kapitalnego. I to było takie zabawne, że nie wiem, czy jest człowiek na świecie, którego by to nie rozweseliło. Oczywiście jasne, że już nie było co jeść, potem nas tam podratowali. To nie było jednak istotne, istotna była ta cała zabawa. Potem jak weszliśmy w obszar innego lesopunktu, przejmowała inna brygada to drzewo i goniła dalej, a my wracaliśmy do domu i do swojej roboty. Zima choć taka mroźna i groźna, nie była tak upiorna jak lato, dlatego że po tym deszczu ciepłutkim, po maju pięknym, rzeczywiście trawa od razu po kolano, trawa w oczach rosła. Tak bujnie, powiedzmy na początku czerwca już kwitło wszastko, wszystko pokrywało się kwieciem, ale też z budzeniem się przyrody, flory, odżywała też i flora, więc niesamowite ilości owadów, wiesz, ale to niewyobrażalne ilości, przede wszystkim takie owady jak: żuczki nie żuczki, rozmaite chrząszcze, to nikogo nie interesowało, o tyle, że ileś tam ślepaków, czy o małej sterowności chrabąszczy mogło do oka wpaść. Najbardziej uciążliwe były komary i tak zwana "maszka". Komary to wiemy co to jeat. Ta maszka, to jest niesłychanie drobna maszka, maciupienka maszka, taka dowcipna, że potrafi, jak masz na przykład sznurowane trzewiki, to dziurkami od trzewików potrafi ci się dostać do skóry, nie było sposobu się uchronić.

Włazi ci we włosy, we brwi, pod mankiety koszuli, gdzie tylko jakaś szpareczka się pokaże tam ta muszka się ładuje. I nie to, że można się odpędzić od tego, bo to są chmury. Człowiek działa w chmurze tych muszek i nie można wziąć gałęzi i się odpędzić. Wyobraź sobie więc, jak były jadowite komary, jak gryźliwe, jak ja miałem spodnie z tego kolejowego diagonalu od Bronka. One były jeszcze tak wysmarowane Żywicą, bo przecież w nich pracowałem, że na splewie ja sobie swobodnie do rozporoka stałem w wodzie i one mi nie za bardzo przemakały, tak że były praktycznie szczelne. Najbardziej wyszmalcowane były na tyłku, przecież człowiek siadał na żywicznych klocach. Nic to nie pomagało, jak się tylko zchyliłeś, to ci tak w tyłek rąbał, że niesamowicie. Efekt był taki, że każdy chodził zakrwawiony, spuchnięty, wysmarowany - ludzkie koszmary. Do czasu dopóki człowiek się uodpornił na to. To trwało mnie więcej dwa, trzy tygodnie. Potem tak to już człowieka nie irytowało, te komary, te moszki ciążyły człowieka, choć one się uspokajały, nie wiem, co się z nimi działo, zostawały tylko komary. Na komary człowiek był już odporny, że nie reagował. Ludzie to jeszcze jakoś, tragedia była z końmi. Konie były oblepione przez tą muszkę. Za każdą szczecinką, każdym włoskiem pełno było i konie formalnie szalały, naprawdę. Trzeba było głaskać te konie, gałęziami omiatać, bo konie dostawały szału od tej moszki. No, i potem dawała w kość temperatura. Niebo się wyogodziło, piękna pogoda wróciła, koniec maja, lipiec, upały nieprawdopodobne upały człowieku. No i biała noc. Choć nasza okolica to jeszcze nie północ, bo to daleko od koła podbiegunowego, a już było tej nocy pół godziny. Spanie więc było jakie. I tak to trwało. Dwa lata. Od wiosny 1941 byliśmy już razem. W kołchozie, niedaleko od naszego wyrębu. Tam ciotka Wiśka wzięła sukienki, przyniosła kartoszeki i mama zaczęła nas karmić kartoflami, do tego chleba razowego i do tego gotowali talko taką zupę - więc tylko razowy chleb, razowa zacierka / ta zupa /, bo już ci mówiłem, że nic oprócz razowej mąki na posiętku nie było. Te kartofle więc bardzo się przydały. Mama robiła tak, że obierając te kartofle, jak trafiała na oczko no, to tak głębiej tym nożem, żeby to oczko miało troszkę więcej mięszu i te łupiny faktycznie, łupiny posadziła na prawie księżycowym krajobrazie. I potem, jak mieliśmy jechać ja poszedłem do tego kołchozu i załatwiłem, że dostaliśmy dwie oddzielne komnaty, bo Bartłomowicz się pogniewał, bo darłem łacha z niego za pomysł przewazy na tratwach do Archangielska i zaczęliśmy osobno mieszkać, żeby mnie na oczy nie widział. Fajne, nowe baraki, pachniało wszędzie sosną. Zapomniałem powiedzieć, że w międzyczasie pracowałem jako stroitiel, że pracowałem w lesie przy budowie domów, posiołek się rozrastał, ludziom było ciasno, a oni chcieli, żeby było ludziom wygodniej, niektórzy się upuminali, młode małżeństwa o swoje osobne mieszkania. Zbudowaliśmy więc trzy, cztery nowe baraki na tym osiedlu. No więc, ja jako taki inżynier od stroitielstwa, masę różnej roboty miałem. No, że ja jako taki stroiszczyk, to we kołchozie prawie na kolanach mnie błagali, bo mieli tam piwnice takie głębokie do chowania karto-

fli, no, ale widocznie stare to było, niektóre ściany przegniły, zaczęło się walić, a tu zima się zbliża, bo to był już sierpień, śnieżkiem zaczęło pruszyć, więc zaczyna się pieronem te ziemiaki wykopywać, a sypać jest nie bardzo gdzie. Na razie jak mrozów nie ma, to jeszcze można było na wierzchu, a jak lada chwila mrozy przyjdą, to trzeba schować. Trzeba było więc to częściowo rozebrać, wzmocnić, wymienić niektóre elementy, które były przegnite po rogach. Słupy powbijsić itd. No, bracie, chłop na cybuszkach chodził koło nas, i kartoszka, i diengi, i mleczko jakieś naracił, no i życie jak w Madrycie, tylko pracować. Pracujemy, ale nikt przecież nie będzie tak siedział dożywotnio, trzeba coś kombinować, żeby do świata się dobierać. O amnestii dowiedziałem się przypadkowo podczas rozprawy w sądzie za rzekomy sabotaż, to znaczy odmówienie wykonania pracy po śmierci siostry Marii Kwiecień, za co groził wyrok do 10 lat ./W czasie rozprawy powiadomiony o amnestii i przekazaniu sprawy do polskiej ambasady, wraca do kołchozu i próbuje wyjechać do Wołogdy - przyp. aut./

Do tego woja cholernego trzeba przecież jechać, wiesz, że nawet niw wiem, jak to się stało, w każdym razie niedaleko kołchozu pracowali zakluczeni, to znaczy nie zamknięci, a przymuszeni do pracy. Oni budowali kolej z Wołogdy do Kotłas, czy coś takiego. W każdym razie materiał wozili z Wołogdy. Wołogda, to było ogromne miasto, węzeł kolejowy duży. Co tu kombinować, bo jakby człowiek do tej Wołogdy się dostał, to już jakoś świat odbity z desek. Nie pamiętam momentu, jak ja się skumałem z tymi zakluczonymi, bo to wiesz, ustrój też jakiś śmieszny, oni też byli bardzo słabo pilnowani, tam było kilku, czy więcej tych strażników, a resztę to mieli własną obsługę, swój dozór, swoich inżynierów, geodetów, geometrów, wszystko swoje. Inteligencji też tam było od cholery międzynimi i sami tyczyli trasę, sami wozili materiał, sami układali, tak że lepskie towarzystwo. Nie bez tego, że tam było zbirów trochę, nie wiem za co to towarzystwo sypało te drogi. I oni, jako że front już był zaawansowany, to kiepsko było z tytoniem. Oni by za machorkę zrobili ci wszystko, tylko machorka. U nas były przydziały machorki, mama nie paliła, ciocia Hela nie paliła, ja paliłem trochę, jak trzeba było zakurkę zrobić, to paliłem. Przydział był na wszystkich. Bartłomowicz to taki piasek, jak były jakieś lepsze to kupował je i ćmił. Ja od czasu do czasu wykupywałem przydział machorki, tak z głupia frant, myślę sobie: "A przyda się." Tak, że miałem coś około 40 paczek machorki. Oni, jak się już skumałem, jeden taki facet mówi: "Słuchaj, my ci damy cały